

ARTHUR CONAN DOYLE

# URZĘDNIK PICKROFT

THE STOCK-BROKER'S CLERK

Wkrótce po ożenku zamieszkałem w Paddingtown, objąwszy praktykę po starym doktorze, niejakim Farkuherze; praktyka niegdyś liczna, ostatnimi czasy, z powodu choroby i zniedołężnienia Farkuhera, tak podupadła, że zaledwie od czasu do czasu trafiał się jakiś chory. Potencjalni pacjenci wyznają zasadę, że kto leczy innych, sam powinien być zdrowy, toteż z dużą nieufnością i krytycyzmem oceniają tych, którzy nie zdołali uzdrowić samych siebie. Tak więc praktyka mego poprzednika w tym czasie, gdy ją przejąłem, przynosiła nie więcej niż trzysta funtów rocznie, podczas gdy wcześniej dochodziła do tysiąca pięciuset. Ufałem jednak mej młodości, energii i byłem przekonany, że po kilku latach uda mi się osiągnąć podobne zarobki, a może nawet je przekroczyć.

W ciągu trzech pierwszych miesięcy od czasu przeniesienia się do nowej siedziby byłem wciąż bardzo zajęty i prawie nie widywałem mego przyjaciela Holmesa. Trudno mi się było wybrać na Baker Street, a i on rzadko kiedy odwiedzał kogoś, jeżeli nie zmuszał go interes. Byłem więc zdziwiony, gdy pewnego czerwcowego poranka po śniadaniu, czytając „British Medical Journal”, usłyszałem dzwonek, a w ślad za nim przenikliwy, dyszkantowy głos mego przyjaciela.

— Kochany Watsonie — rzekł, wchodząc do pokoju — jakże się cieszę, że cię widzę! Pani Watson, mam nadzieję, zdrowa?

— Dziękuję ci, oboje jesteśmy zdrowi — odpowiedziałem, z prawdziwą radością wyciągając dłonie.

— Mam także nadzieję, że praktyka lekarska nie zdołała jeszcze zagłuszyć w tobie zamiłowania do naszych detektywistycznych wypraw.

— Przeciwnie — odrzekłem — nie dalej jak wczoraj porządkowałem moje notatki, będące ich kroniką.

— Pochlebiam sobie, że nie uważasz ich za skończone i zamknięte?

— Naturalnie, że nie. Niczego sobie bardziej nie życzę, jak tego, bym mógł znów opisać jedną z prowadzonych przez ciebie spraw.

— Choćby dziś?

— Choćby dziś, jeżeli zechcesz.

— Nawet, gdyby wypadło jechać do Birmingham?

— Ależ rozumie się!

— A praktyka?

— Zastępuję zawsze mego sąsiada, gdy wyjeżdża. Mam nadzieję, że mi się odwdzięczy.

— Wybornie! — rzekł Holmes, odchylając się na krześle i spoglądając na mnie zmrużonymi oczyma. — Widzę, że niedawno chorowałeś. Cóż to, lekkie przeziębienie?

— Tak jest. Trzy dni nie wychodziłem z domu z powodu silnego kataru. Nie przypuszczam jednak, by po mojej chorobie pozostał jakiś ślad.

— Bo też nie pozostał. Wyglądasz znakomicie.

— Po czym więc poznałeś, że byłem chory?

— Mój drogi, wiesz przecież dobrze, że potrafię odgadywać nawet najbardziej skrywane tajemnice.

— Chcesz powiedzieć, że to wydedukowałeś?

— Naturalnie.

— Ale jak na to wpadłeś?

— Twoje pantofle.

Spojrzałem na nowe, skórzane pantofle, które miałem na nogach.

— Jak... — zacząłem, lecz Holmes mi przerwał.

— Twoje pantofle są zupełnie nowe — wyjaśnił. — Tymczasem ich podeszwy są lekko opalone. Najpierw pomyślałem, że były mokre i że suszono je przy ogniu, dostrzegam stąd jednak naklejony na środku znak firmowy. Gdyby były wilgotne, ten znak by się odkleił. Pozostaje tylko jedno rozwiązanie: siedziałeś w nich długo przy ogniu, co w czerwcu robi się tylko wtedy, gdy człowiek jest przeziębiony.

Jak wszystkie rozumowania Holmesa, tak i to odznaczało się niezwykle prostotą. Odczytał tę myśl z mojej twarzy i uśmiechnął się filuternie.

— Obawiam się, że zanadto się odkrywam, przedstawiając tak dokładnie moją metodę analizy zdarzeń — rzekł. — Sama konkluzja bez komentarzy czyniłaby większe wrażenie. Jesteś gotów jechać ze mną do Birmingham?

— Najzupełniej. Ciekawa sprawa?

— Opowiem ci w drodze. Mój klient czeka na nas w powozie na ulicy. Czy możesz wyruszyć natychmiast?

— Mogę.

Napisałem kilka słów do kolegi lekarza, pobiegłem na górę zawiadomić żonę o wyjeździe i dogoniłem Holmesa już na schodach.

— Twój sąsiad także doktor? — spytał, wskazując na mosiężną tabliczkę na drzwiach.

— Tak. Rozpoczął praktykę razem ze mną.

— A przedtem także tu mieszkał lekarz?

— Tak. W tym domu od samego początku mieszkało zawsze dwóch lekarzy.

— Ty jednak masz więcej pacjentów niż on?

— Tak. Po czym to poznałeś?

— Po schodach — odparł. — Stopnie przy twoich drzwiach są trzy razy brudniejsze. Ale otóż i nasz towarzysz. Pozwoli pan, że go przedstawię: pan Holl Pickroft. A teraz — zacinaj konie — zwrócił się do woźnicy — ledwie zdążymy na pociąg.

Mój nowy znajomy, siedzący naprzeciw mnie, okazał się zdrowym młodzieńcem, z twarzą jasną, szlachetną, ozdobioną puszystym wąsikiem. Cylinder na jego głowie był starannie wyprasowany; ubranie czarne, przyzwoite, wskazywało, że nosił je człowiek, który należał do skromnej klasy młodzieży, zamieszkującej City. Większość to znakomici sportsmeni i atleci. Twarz jego była pełna radości życia i tylko w kącikach ust błąkała się jakaś przelotna trwoga. Gdy już usadowiliśmy się we trzech w przedziale pierwszej klasy, dowiedziałem się wreszcie, dlaczego zwrócił się o pomoc do Holmesa.

— Będziemy jechali godzinę i kwadrans — rzekł Holmes — poproszę więc pana, panie Pickroft, by zechciał pan opowiedzieć mojemu przyjacielowi swoją przygodę — tak, jak mnie ją pan opowiedział lub, jeśli można, jeszcze dokładniej. Będzie to korzystne i dla mnie, gdy wysłucham jej raz jeszcze. Proszę, niech pan opowiada.

Nasz towarzysz spojrzął na mnie, uśmiechając się z pewnym zakłopotaniem.

— Chodzi o to, proszę pana — rozpoczął — że w całej tej sprawie gram bardzo głupią i niewyraźną rolę. Może się to, rzecz prosta, skończyć pomyślnie, ale nie mogłem postąpić inaczej. W każdym razie wyglądam w tym wszystkim jak naiwniak, którego łatwo wyprowadzić w pole. Sam pan się o tym przekona, panie doktorze!

Pracowałem w firmie Cocksohn i Udhaus, lecz firma zbankrutowała i zostałem wraz z siedemdziesięcioma pozostałymi osobami bez pracy. Ponieważ pracowałem tam pięć lat, stary Cocksohn dał mi bardzo dobre świadectwo; na nic mi się ono jednak nie przydało. Gdziekolwiek się zwróciłem, wszystkie stanowiska były zajęte. Przez pięć lat zaoszczędziłem około osiemdziesiąt funtów, dostawałem bowiem trzy funty tygodniowo. Pieniądze te jednak prędko się wyczerpały, tak że wystarczało zaledwie na opłatę ogłoszeń lub na znaczki do listów, w których

wysyłałem swoją ofertę. Biegając od jednego biura do drugiego zdarłem całkiem buty. Znalazłem wreszcie wakat w wielkiej firmie handlowej „Mawson i Williams”. Nie wiem, czy zna pan tę firmę; znajduje się ona na krańcu miasta, chociaż jest jednym z najbogatszych domów handlowych w Londynie. Na ogłoszenie trzeba było odpowiedzieć pisemnie. Posłałem na wszelki wypadek moje świadectwo, nie mając w gruncie rzeczy nadziei na powodzenie. W odpowiedzi otrzymałem wezwanie do objęcia posady od zbliżającego się poniedziałku. Trudno pojąć, jak to się stało i jak w ogóle załatwiają takie sprawy. Mówią, że główny dyrektor zanurza rękę w stosie listów i wyciąga pierwszy lepszy. Tak czy owak, szczęście uśmiechnęło się do mnie i nie potrzebuję dodawać, jaki byłem wniebowzięty. Pensja — na początek funt tygodniowo, praca prawie taka sama, jak u Cocksohna. Teraz przejdę do sedna sprawy. Mieszkam za miastem, w Hamsted, Potters Taras, pod numerem 17. Tego samego wieczora, kiedy otrzymałem wezwanie do objęcia posady, siedziałem w swoim pokoju i paliłem fajkę. Naraz ukazuje się w drzwiach moja gospodyni i doręcza mi bilet wizytowy z nazwiskiem „Artur Pinner, agent handlowy”. Nie słyszałem nigdy tego nazwiska, lecz mimo to powiedziałem, że proszę tego pana. Był to mężczyzna średniego wzrostu, brunet, z czarnymi oczyma i czarną brodą. Mówił tonem człowieka interesu; krótkimi i urywanymi zdaniami, jak ktoś, kto ceni swój czas.

— Pan Holl Pickroft? — zapytał.

— Tak jest, sir — odrzekłem, wskazując mu krzesło.

— Pracował pan poprzednio w firmie Cocksohn?

— Tak jest.

— A teraz obejmuje pan posadę u Mawsona?

— Tak jest, sir.

— Słyszałem — mówił dalej — że pan posiada niezwykle zdolności finansowe. Zna pan, naturalnie, Paroge’a, byłego zarządzającego u Cocksohna? Nie mógł się nachwalić pana.

— Miło mi to słyszeć. Starłem się tylko wypełniać uczciwie obowiązki i nie sądziłem, że zasłużę na takie pochwały.

— Czy ma pan dobrą pamięć? — zapytał.

— Tak jest, niezłą — odrzekłem skromnie.

— Czy pozostając bez zajęcia śledził pan sytuację na giełdzie? — zapytał.

— Tak jest. Czytuję codziennie „Stock Exchange List”.

— To się nazywa prawdziwe zamięłowanie! — zawołał. — Czy nie będzie mi pan miał za złe, że go trochę przeegzaminuję? Niech mi pan powie, jak stoją akcje akszerskie?

— Od stu pięciu do stu pięciu i jedna czwarta — odrzekłem.

— A nowozelandzkie?

— Sto cztery.

— Brytyjski Broken Hill?

— Siedem i siedem i pół.

— Wspaniale! — zawołał zachwycony. — Odpowiada to w zupełności temu, co słyszałem o panu. Mój młodzieńcze, moim zdaniem, za wiele jest pan wart, by zostać pracownikiem u Mawsona!

Zachwył ten zdziwił mnie nieco.

— Inni chyba nie są tak łaskawi i hojni w ocenianiu mnie, panie Pinner — odrzekłem. — Jestem bez pieniędzy i cieszę się, że otrzymałem to miejsce.

— A! rzuć pan je bez namysłu. To nie kariera dla pana! Powiem panu, co mogę ofiarować panu natychmiast, jeżeli zechce pan pracować w naszym biurze. Nie będzie to wiele w stosunku do pańskich zdolności, lecz bez porównania więcej, niż panu oferuje Mawson. Kiedy ma pan zamiar objąć u niego posadę?

— W poniedziałek.

— Czy da pan wiarę, że jestem prawie pewien, iż pan jej nie obejmie?

— Jak to: nie obejmę?

— W prosty sposób. Z dniem dzisiejszym zostaje pan mianowany administratorem Towarzystwa Śródziemno–Francusko–Harwardzkiego, które posiada sto trzydzieści cztery filie w miastach i miasteczkach Francji, nie licząc filii w Brukseli i w San Remo. Na te słowa zaparło mi dech w piersiach.

— Nigdy nie słyszałem o tym Towarzystwie — rzekłem, siląc się na spokój.

— Być może. Kapitały tej firmy znajdują się w prywatnych rękach i sprawy jej idą tak pomyślnie, że nie potrzebują reklamy. Brat mój, Harry Pinner, jest głównym dyrektorem i kuratorem tego towarzystwa. Wiedząc, że się wybieram w te strony, prosił mnie o wyszukanie młodego i zdolnego pracownika, który by potrafił poprowadzić rzecz samodzielnie. Parker mówił mi o panu i oto jestem. Z żalem wyznaję, iż więcej nad pięćset funtów nie możemy panu zaoferować.

— Pięćset funtów rocznie! — wykrzyknąłem.

— Na początek. Oprócz tego otrzyma pan jeden procent komisowego od wszystkich komisów, jakie załatwią pańscy agenci, a może mi pan wierzyć, że to wyniesie znacznie więcej, niż pensja.

— Ależ ja jestem zupełnie nie obeznany z tym zajęciem!

— Nic nie szkodzi. W krótkim czasie nauczy się pan wszystkiego. W głowie mi się kręciło, ledwo mogłem usiedzieć na krześle. Naraz ogarnęło mnie zwątpienie.

— Muszę panu powiedzieć otwarcie — rzekłem po chwili — że chociaż Mawson daje mi tylko dwieście funtów rocznie, to jego firma jest znana i pewna. Co się tyczy Towarzystwa panów, to nic o nim nie wiem...

— Wybomie! — wykrzyknął mój protektor wręcz zachwycony. — Właśnie taki człowiek jest nam potrzebny. Pana niełatwo wywieść w pole. Oto jest banknot stufuntowy; jest to zaliczka na poczet pańskiej pensji.

— Zgadza się — wyszeptałem. — Kiedy mam objąć obowiązki?

— Jutro będzie pan w Birmingham. Dam panu zaraz kartkę, którą pan doręczy memu bratu. Uda się pan na Corporation Street pod numer 126c, gdzie znajduje się chwilowo nasze biuro. Tam pan znajdzie mego brata. Rzecz prosta, podpisze on z panem umowę, chociaż główne punkty już uzgodniliśmy.

— Doprawdy nie wiem, jak panu podziękować, panie Pinner! — wykrzyknąłem.

— Cóż znowu! Otrzymał pan tylko to, na co zasługuje. Teraz pozostaje nam do załatwienia kilka drobnych spraw, to zwyczajna formalność. Czy nie ma pan arkusika papieru? Niech pan na nim napisze:

„Zgadza się na objęcie posady administratora Śródziemno–Francusko–Harwardzkiego Towarzystwa z płacą 500 funtów rocznie”.

Napisałem, czego żądał; rzucił okiem na kartkę i schował ją do kieszeni.

— Ach! jeszcze jedno! — rzekł. — Co pan zamierza teraz zrobić z Mawsonem?

— Zapomniałem całkiem o Mawsonie — rzekłem. — Napiszę do niego i odwołam objęcie posady.

— Właśnie, chodzi o to, żeby pan tego nie robił. Pokłóciłem się dzisiaj o pana z zarządzającym u Mawsona. Udałem się do niego, żeby się czegoś o panu dowiedzieć; był dla mnie bardzo niegrzeczny, oskarżał mnie o to, że mu zabieram ludzi. Nie wytrzymałem i powiedziałem: „Jeżeli pan chce mieć dobrych pracowników, to płać im pan lepiej, niż płacisz!”. „Ręczę panu, że chętniej się zgodzi na naszą skromną płacę, niż na pańską wielką!” — rzekł podrażniony.

— „Idę o zakład — odparowałem — że otrzymawszy moje warunki, nie będzie nawet uważał za potrzebne zawiadomić pana o rezygnacji”. „Owszem! — rzekł — zobaczymy! Wybawiłem go od śmierci głodowej, zobaczymy, czy tego nie doceni!” To były jego ostatnie słowa.

— A to hultaj! — zawołałem. — Nigdy go na oczy nie widziałem. Oczywiście krępować się nim nie będę. Jeżeli pan sobie nie życzy, nie napiszę do niego ani słowa.

— Wybornie. Trzymam pana za słowo — rzekł powstając z miejsca. — Jestem szczęśliwy, że znalazłem dla swego brata pewnego człowieka. Oto jest pańska zaliczka, a tu list polecający. Proszę zapisać adres: Corporation Street, nr 126c i pamiętać, że jutro o pierwszej musi pan być na miejscu. Dobranoc! Życzę powodzenia!

— Oto wszystko, o czym z tym panem mówiliśmy, o ile mogę sobie przypomnieć. Może pan sobie teraz wyobrazić, panie doktorze, jak się ucieszyłem z tego szczęścia, które na mnie spłynęło. Cały wieczór tylko marzyłem, robiąc plany na przyszłość; nazajutrz wczesnym pociągiem ruszyłem do Birmingham.

Odwiozłem rzeczy do hotelu na New Street i stamtąd udałem się pod wskazany adres. Przyszedłem o kwadrans wcześniej, niż należało, sądząc, że to nie czyni różnicy. Dom pod numerem 126c był zajęty przez różne firmy i biura handlowe. Na liście odczytałem je kolejno, lecz Śródziemno–Francusko–Harwardzkiego Towarzystwa wśród nich nie było. Stałem chwilę, tknięty niepokojem; najwidoczniej zażartowano ze mnie. Miałem już odchodzić, gdy nagle stanął przede mną jegomość, bardzo podobny do mego wczorajszego gościa. Jedyne twarz była wygolona i włosy jaśniejsze niż u tamtego.

— Czy pan Holl Pickroft? — zapytał.

— Tak jest — odrzekłem.

— Czekam na pana. Dziś rano otrzymałem list od brata; mój brat bardzo chwali pana.

— Przed chwilą odczytywałem nazwy biur — odezwałem się, chcąc zatrzeć niedawne wrażenie.

— Ach, tak! Jeszcze swego nie wywiesiliśmy, ten lokal bowiem jest tymczasowy. Proszę, niech pan pozwoli, omówimy szczegóły.

Udałem się za nim na górę. Weszliśmy do niewielkiego, całkiem pustego pokoju. Spodziewałem się ujrzeć wielkie, widne sale z rzędami stołów i całą armią zatrudnionych, jak to było u Cocksohna. Ze zdumieniem spojrzałem więc na mały stół, dwa krzeselka i małą szafkę, stanowiące całe umeblowanie pokoju.

— Niech to pana nie przeraża, panie Pickroft — rzekł mój towarzysz, widząc, że moja twarz wydłuża się ze zdziwienia. — Nie od razu Rzym zbudowano, a my mamy tyle gotówki, że nie potrzebujemy dbać o zewnętrzny wygląd naszego przedsiębiorstwa. Proszę, niech pan siada i da mi list brata.

Podąłem mu list, wziął go i uważnie odczytał.

— Widzę, że pan wywarł na moim bracie Arturze bardzo korzystne wrażenie, a to jest sędzia nie lada! Dobrze więc, idę za jego radą i mam zaszczyt oznajmić panu, że jest pan do nas przyjęty.

— Na czym będą polegać moje obowiązki? — zapytałem.

— W przyszłości będzie pan zarządzał wielką filią w Paryżu; tymczasem przez dwa tygodnie zostanie pan w Birmingham, gdzie będzie pan pomocny w inny sposób.

— Mogę zapytać: w jaki?

Zamiast odpowiedzi wyjął z szafy wielką czerwoną księgę.

— Jest to księga adresowa Paryża — rzekł mi — wyliczone są w niej wszystkie banki i domy handlowe. Zechce ją pan wziąć ze sobą i zrobić listę tych, które mogą być użyteczne w naszym interesie. Jest to dla mnie bardzo ważna sprawa.

— Muszą istnieć tego rodzaju gotowe listy — rzekłem.

— Tak, lecz im nie bardzo można ufać. Oprócz tego pan będzie kierować się specjalnymi wskazówkami, które tu wypisałem dla pana. Prosiłbym, aby ta lista była gotowa na poniedziałek, na godzinę 12. Do widzenia, panie Pickroft; jeżeli pan będzie pilny i sumienny, sądzę, że będzie panu u nas dobrze.

Wróciłem do hotelu z wielką księgą pod pachą i ze zwątpieniem w sercu. Z jednej strony mam niby stanowisko i sto funtów zaliczki. Z drugiej — widok pustego biura, nieobecność urzędników i inne szczegóły zmuszały mnie do głębokiej zadumy nad statusem moich chlebodawców. Tak czy owak, pieniądze mam w kieszeni; wziąłem się więc do pracy. Pisałem przez całą niedzielę, nie rozprostowując nóg, i w poniedziałek doszedłem zaledwie do litery N. Poszedłem do szefa; zastałem go w tym samym pokoju i przedstawiłem księgę. Przedłużył mi termin do środy. W środę praca była jeszcze nie skończona; przesiedziałem nad nią do piątku, to jest do dnia wczorajszego, i znowu udałem się do pana Harry Pinnera.

— Dziękuję panu bardzo! — rzekł mi. — Przykro mi, że pan tak bardzo umęczył się tą pracą, lecz była to dla mnie ważna rzecz.

— Tak jest, trzeba było nad nią przysiąc fałdów — rzekłem.

— Teraz niech pan mi przygotuje drugi taki wypis, jeśli łaska.

— Oczywiście.

— Jutro koło siódmej niech pan się zgłosi i powie mi, co pan zrobił. Tylko niech się pan nie przeciąża. Nie zaszkodzi, jeżeli pan po dniu pracy spędzi sobie kilka godzin gdzieś przy muzyce! Przy tych słowach roześmiał się; zostałem porażony widokiem złotej plomby na jednym z przednich zębów, z lewej strony szczęki.

Holmes aż ręce zatarł z radości, ja zaś słuchałem, nic a nic z tego nie rozumiejąc.

— Niech pan się nie dziwi, panie doktorze — rzekł Pickroft — chodzi jednak o to, że kiedy rozmawiałem w Londynie z tamtym Pinnerem i kiedy się uśmiechnął na moje oświadczenie, że nie będę pisał do Mawsona, zauważyłem, że miał złotą plombę w zębie. Plomba obecnego Pinnera jest w tym samym zębie i od razu uderzyła mnie swoją identycznością. Gdy porównałem głos oraz figurę obydwu braci i odrzuciłem to, co łatwo można zmienić za pomocą brzytwy i farby, nie wątpiłem już dłużej, że obydwaj Pinnerowie to jedna i ta sama osoba. Rzecz prosta, bracia mogliby być bardzo podobni, trudno jednak przypuścić, by mieli zaplombowany ten sam ząb, w tym samym miejscu. Pinner wkrótce mnie pożegnał i wróciłem od niego jak zaczadzony. Przede wszystkim zlałem głowę zimną wodą i tak orzeźwiony zacząłem rozmyślać nad swym losem. Po co mnie wysłał z Londynu do Birmingham? Po co sam tu przybył przede mną? Po co pisał list sam do siebie? Było to wszystko dla mnie zbyt zagadkowe, nie mogłem się z tym uporać — i postanowiłem udać się do pana, panie Holmes.

— Jak ci się to podoba, Watsonie? — zapytał Holmes, gdy Pickroft skończył swe opowiadanie.

— Co? Nieźle by było, gdybyśmy zobaczyli pana Pinnera w jego tymczasowym biurze Towarzystwa Śródziemno–Francusko–Harwardzkiego?

— Ale jak to urządzić? — zapytałem.

— O, to nic trudnego — rzekł Pickroft. — Powiem mu, że panowie jesteście moimi przyjaciółmi i że poszukujecie zajęcia; nie będzie w tym nic dziwnego, że przyprowadzam panów do niego, jako do dyrektora towarzystwa.

— Wybornie! — rzekł Holmes. — Z przyjemnością popatrzę na tego pana i postaram się rozwiązać tajemnicę. Ciekawa rzecz, które z pańskich zalet wydały mu się ważne lub też...

Zamilkł i począł wyglądać przez okno. Do końca drogi nie mogliśmy wydobyć z niego ani słowa.

O siódmej wieczorem wszyscy trzej szliśmy Corporation Street wprost do biura Pinnera.

— Nie ma się co spieszyć — rzekł Pickroft — dopiero siódma za parę minut, on zaś przychodzi regularnie o siódmej; do tej pory biuro jest zupełnie puste.

— No, nie wiadomo, czy tak jest zawsze — zauważył Holmes.

— A co! nie mówiłem? — zawołał Pickroft. — Oto idzie przed nami. Proszę!

Pokazał nam jegomościa niskiego wzrostu, jasnego blondyna, przyzwoicie odzianego, który szedł po drugiej stronie ulicy. Widzieliśmy, jak zbliżył się do sprzedawcy gazet, spieszenie kupił gazetę wieczorną i, złożąwszy ją, zniknął w bramie domu.

— Już wszedł — zawołał Pickroft. — Teraz już na pewno jest w biurze. Chodźmy, pragnąłbym jak najprędzej dowiedzieć się prawdy.

Poszliśmy za nim na piąte piętro i zatrzymaliśmy się przy uchylonych drzwiach, do których Pickroft zastukał. „Proszę”, rozległ się głos — i oto znaleźliśmy się w pustym pokoju, opisanym nam przez Pickrofta. Przy stole siedział mężczyzna, którego widzieliśmy na ulicy, i czytał gazetę; gdy podniósł głowę i spojrzął na nas, odniosłem wrażenie, że człowiek ten jest śmiertelnie przerażony. Na czoło wystąpiły mu wielkie krople potu, policzki były białe jak kreda, oczy błyszczały jak w gorączce. Spojrzął na Pickrofta, jakby go nie poznawał; ten zdumieniem na twarzy zaświadczał, że nigdy jeszcze w tym stanie nie widział swego zwierzchnika.

— Pan jest chory, panie Pinner? — zapytał go.

— Tak jest, słabo mi trochę — odrzekł Pinner, starając się zapanować nad sobą. — Kim są ci panowie, których pan przyprowadził ze sobą?

— Jeden z nich to pan Harren z Bermonthey, drugi — pan Price z Birmingham — rzekł Pickroft, nie zmieszany. — Są to moi przyjaciele, chwilowo bez zajęcia; mają nadzieję, że może pan ich zatrudni.

— Być może! — rzekł już raźniej Pinner, zmuszając się do uśmiechu. — Bez wątpienia znajdziemy coś dla panów. Jakie są pańskie kwalifikacje, panie Harren?

— Jestem buchalterem — odrzekł Holmes.

— Naturalnie, że coś znajdziemy. A pańskie, panie Price?

— Byłem urzędnikiem w biurze — odrzekłem.

— Bardzo możliwe, że przyjmę panów do siebie. Dam panom znać, jak tylko sprawy uregulują się nieco. A teraz, proszę panów, zostawcie mnie w spokoju! Na Boga, zaklinam panów!

Słowa te wyrwały mu się jakby niechcący z gardła. Ja i Holmes spojrzeliśmy na siebie, Pickroft zbliżył się do stołu.

— Pan zapomniał widocznie, panie Pinner, że kazał mi pan przyjść o tej porze.

— Ależ nie! Skądże znowu! Pamiętam dobrze — rzekł spokojniej. — Proszę, niech pan chwilkę zaczeka. Pańscy przyjaciele, jeżeli pragną, mogą także tu zaczekać. Za trzy minuty służę panom.

Wstał, ukłonił nam się grzecznie i zniknął w drzwiach, prowadzących do sąsiedniego pokoju.

— Co teraz? — zapytał Holmes szeptem. — Jeszcze, co nie daj Boże, czmychnie nam.

— Co to, to nie! — rzekł Pickroft.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Te drzwi prowadzą do bocznego pokoju.

— Nie ma tam wyjścia?

— Nie.

— Tamten pokój jest umeblowany?

— Do wczorajszego dnia był pusty.



— Cóż więc on w nim robi? Nie mogę zrozumieć. Jeżeli doznał ktoś kiedykolwiek uczucia przerażenia, to z całą pewnością on, Pinner. Czego się tak przeraził?

— Wziął nas za agentów policyjnych — zrobiłem przypuszczenie.

— Tak, na pewno! — potwierdził Pickroft. Holmes pokręcił głową.

— Nie! On był już przed tym blady, zanim weszliśmy do pokoju — rzekł. — Bardzo być może, że to...

Słowa te zostały przerwane przez łoskot, dobiegający z sąsiedniego pokoju.

— Co to, on do własnych drzwi puka? — zawołał Pickroft.

Znów rozległo się stuknięcie, raz i drugi. Patrzyliśmy zdziwieni w stronę drzwi. Spojrzawszy na Holmesa, spostrzegłem, że twarz jego nagle pobladła i aż chwycił za stół, żeby nie upaść. Jednocześnie z tajemniczego pokoju rozległ się jakiś dziki, schrypnięty głos i coś runęło na ziemię. Holmes jednym skokiem był już u drzwi i pchnął je. Były od wewnątrz zamknięte. Za jego przykładem obaj natarliśmy na nie całym ciężarem. Jeden zawór ustąpił, potem drugi, wreszcie drzwi otworzyły się z trzaskiem. Wpadliśmy do pokoju.

Był pusty. Tak zdawało nam się tylko na pierwszy rzut oka. W kącie, naprzeciwko, były jeszcze drugie drzwi. Holmes pchnął je do środka. Surdut i kamizelka leżały na ziemi, a na haku, za drzwiami, na własnych szelkach wisiał główny dyrektor Towarzystwa Śródziemno–Francusko–Harwardzkiego. Kolana miał podgięte, głowa zwisała, a obcasy butów dotykały drzwi. To był powód hałasu, który słyszeliśmy z przyległego pokoju. Chwyciłem wisielca w pól i uniosłem do góry, Holmes i Pickroft pospiesznie zdejmowali pętlę. W niespełną minutę nieśliśmy go już do pierwszego pokoju, gdzie położyliśmy na stole.

— Co o tym sądzisz, Watsonie — zapytał Holmes. Pochyliłem się nad bezwładnym człowiekiem i zbadałem go uważnie. Puls jeszcze się kołatał słabo i nierówno, oddech był ledwo dostrzegalny; pod powiekami, które się z lekka otworzyły, szkliło się białko oka.

— Omal się nie wykończył — rzekłem — jeszcze chwilka i byłoby po nim. Będzie żył. Otwórzcie panowie okno i dajcie mi karafkę z wodą.

Rozpiąłem mu kołnierz, przysnąłem wodą na twarz i przez długi czas starałem się wywołać pełniejszy oddech.

— Teraz to już tylko kwestia czasu — stwierdziłem, odstępując od leżącego. Holmes stał przy stole z rękoma w kieszeniach, z pochyloną głową.

— Powinniśmy zawiadomić policję — rzekł po chwili — wcześniej jednak chciałbym rzecz wyjaśnić.

— Nic a nic z tego nie rozumiem — rzekł Pickroft, potrząsając głową — po co sprowadzali mnie tutaj i wplątywali w jakąś dziwną kabałę?

— A dla mnie to wszystko bardzo jasne — odrzekł Holmes. — Jednego tylko nie pojmuję; co go popchnęło do targnięcia się na własne życie?

— Jak to? Więc reszta jest dla pana całkiem zrozumiała?

— Przypuszczam, że tak. A ty co powiesz o tym, Watsonie?

Wzruszyłem ramionami.

— Jedno tylko mogę powiedzieć — odrzekłem — że nic a nic nie rozumiem.

— Jeżeli zastanowisz się trochę, dojdiesz do wniosku, że wszystko zdąża do jednego celu.

— Ale — do jakiego?

— Cała rzecz opiera się na dwu głównych punktach. Pierwszy: zmuszenie Pickrofta do napisania deklaracji, że pragnie objąć posadę w fikcyjnym Towarzystwie Śródziemno–Francusko–Harwardzkim. Czyż nie domyślasz się, na co im to było potrzebne?

— Przyznam ci się, że nic jeszcze nie rozumiem.

— Ależ to jasne. Tego rodzaju umowy zawiera się zazwyczaj ustnie, nie było żadnej racji wyłamywać się z ogólnie przyjętego zwyczaju. A więc potrzebny im był charakter pańskiego pisma, panie Pickroft! Ot i wszystko.

— Ale do czego?

— Do czego! To także nietrudne do rozwiązania. Widocznie ktoś zapragnął podszyć się pod pańskie pismo i dlatego był mu niezbędny wzór. A teraz przejdziemy do drugiego punktu. Polega on na tym, że Pinner domagał się usilnie, żeby pan nie zawiadamiał Mawsona o odmowie przyjęcia posady, czyli — żeby zarządzający Mawsona pozostał przekonany, że w poniedziałek zgłosi się do pracy nowy urzędnik — Holl Pickroft.

— Boże! — wykrzyknął Pickroft — jakże byłem naiwny! jak można było dać się tak wywieść w pole!

— Teraz, jak pan widzi, wyjaśnia się, po co był potrzebny wzór, pańskiego pisma. Niech pan sobie wyobrazi, że zamiast pana obejmuje tę posadę ktoś inny, kto pisze inaczej niż pan; rzecz prosta, iż oszustwo od razu by się wykryło. Tymczasem ów „ktoś” przestudiował pański charakter pisma i czuł się zupełnie bezpieczny, przypuszczam bowiem, że nikt u Mawsona nigdy nie widział pana.

— Żywa dusza mnie tam nie zna — jęknął Pickroft.

— A widzi pan! Następnie ważną rzeczą było usunięcie pana jak można najdalej, żeby pan przypadkiem nie dowiedział się... o swym urzędowaniu u Mawsona. Dano panu w tym celu ów awans i posłano tutaj, gdzie natychmiast opatrzone morderczą robotą, żeby zapobiec ochocie wyjazdu do Londynu, która mogłaby się przy mniejszej pracy nadarzyć. Czy to nie jasne?

— Po co więc jegomość grał rolę swego brata?

— I to oczywiste. Najwidoczniej — jest ich dwóch. Jeden z nich gra obecnie pańską rolę urzędnika w biurze Mawsona. Drugi grał rolę pańskiego protektora. Ponieważ jednak potrzebna jest i trzecia osoba, a obcy człowiek w tej spółce nie byłby pożądany, zmienił więc swoją powierzchowność, licząc na to, że podobieństwo rodzinne dwóch braci nie będzie pana raziło. I rzeczywiście, gdyby nie ten charakterystyczny ząb, nie zrodziłoby się w panu podejrzenie.

Holl Pickroft załamał ręce z rozpacz.

— Boże! — wykrzyknął — lecz co ten drugi Pickroft robił u Mawsona? Co począć, panie Holmes, by w porę zapobiec nieszczęściu?

— Trzeba zatelegrafować do Mawsona.

— W soboty kończą pracę o 12.

— Nic nie szkodzi. Może będzie tam jakiś woźny lub strażnik.

— Naturalnie! Przecież musi być dyżurujący: mają przecież kosztowności w skarbcu.

— A więc tak! Zatelegrafujemy do nich z zapytaniem, czy wszystko w porządku i czy pracuje u nich urzędnik z takim jak pańskie nazwiskiem. Wszystko to bardzo proste, ale czegoś nie pojmuję; dlaczego jeden z tych łotrów, zobaczywszy nas, poszedł i powiesił się.

— Gazeta! — wykrztusił naraz ktoś za nami. Był to Pinner, który odzyskał przytomność; uniósł się i usiadł, zataczając dokoła błędnymi jeszcze oczyma i obmacując rękoma swą szyję.

— Gazeta! Ależ naturalnie, że gazeta — zawołał Holmes. — Ależ idiota ze mnie! Zapomniałem całkiem o gazecie, a przecież najpierw w niej należało szukać przyczyn tego kroku. Porwał gazetę ze stołu i mimowolny krzyk wyrwał mu się z piersi.

— Patrz no, Watsonie! Wieczne wydanie „Evening Standard”. Wszystko, czego nam potrzeba. Czytaj. „Zbrodnia w City. Zabójstwo u Mawsona i Williamsa. Usiłowanie grabieży; ujęcie zbrodniarza”. Bądź łaskaw, Watsonie, przeczytaj to nam głośno. „Usiłowanie rabunku wraz z zabójstwem, zakończone ujęciem zbrodniarza, poruszyło dzisiaj całą dzielnicę. Parę tygodni temu do firmy Mawson i Williams zostały złożone na przechowanie kosztowności o

wartości około miliona funtów. W tym celu zakupiono specjalne kasy pancerne najnowszego typu, a w gmachu dniem i nocą dyżurował policjant. Tydzień temu przyjęto do pracy nowego urzędnika, nazwiskiem Pickroft. Okazało się, że pod to nazwisko podszył się dobrze znany policji zbrodniarz i rabuś, Beddington, który razem ze swym bratem zbiegł z więzienia. Jakimś sposobem udało mu się podszyć pod nazwisko Pickroft i wejść w kręgi pracujących u Mawsona, z czego wkrótce skorzystał, robiąc woskowe odciski zamków i kluczy, by następnie dostać się do kas pancernych.

W sobotę biuro Mawsona zakończyło pracę o 12 w południe. Dlatego sierżant Tuzan, stróżujący przed gmachem, był nieco zdziwiony, ujrawszy jegomościa, wychodzącego z kantoru z workiem podróżnym w rękę. Tknięty jakimś przecuciem, udał się za nim i przy pomocy drugiego policjanta aresztował go, pomimo gwałtownego oporu ze strony złoczyńcy. W torbie znaleziono wiele papierów wartościowych i cały stos banknotów.

Zrewidowawszy następnie kantor, policjanci znaleźli związane ciało stróża, wciśnięte do kasy ogniotrwałej. Gdyby nie domyślność i czujność policjanta, zbrodnia nie zostałaby wykryta aż do poniedziałku. Po zakończeniu pracy Beddington powrócił pod jakimś pozorem do kantoru, zabił stróża i dopuścił się kradzieży. Jego brat, zazwyczaj operujący z nim w spółce, dotychczas nie został wykryty, pomimo energicznego pościgu.”

— Co do tego, pomożemy nieco policji — rzekł Holmes, wskazując na złoczyńcę, wciąż jeszcze siedzącego w dawnej pozycji.

— Dziwny to twór — człowiek, prawda, Watsonie? Nawet łotr i zabójca może wzbudzić w swym bracie tyle przywiązania, że ten na wieść o jego ujęciu z rozpaczary targnie się na swe życie. Nie mamy tu już nic więcej do roboty. Ja i doktor zostaniemy na straży, a pan, panie Pickroft, zbiegnie na dół i sprowadzi policję.